

Tematy tygodnia

- 14** Z **Mateuszem Kijowskim**, przewodniczącym KOD, o politycznych planach rozmawia Jan Hartman
- 17** Jacek Żakowski
O wilku, który zjada demokrację
- 20** ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO
Prof. **Stanisław Gebethner**, konstytucjonalista, o tym, że można zmieniać konstytucję, ważne tylko, jak to się robi

Polityka

- 22** Piotr Pytlakowski
Sędziowie pod ostrzałem
- 26** Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki
Co dziś robią bohaterowie afery madryckiej
- 30** Sławomir Sierakowski
OGLĄD I POGLĄD
Tragedia konserwatyzmu

Społeczeństwo

- 32** Agnieszka Sowa
Nowe życie miejsc pamięci
- 35** Joanna Cieśla
Agnieszka Ziółkowska – feministka z in vitro
- 38** Barbara Pietkiewicz
Studia dla tych z problemami

Rynek

- 40** Adam Grzeszak
Mercedes być
- 44** Joanna Solska
Apetyt na NBP
- 47** Rafał Woś
Michał Kalecki – nasz Keynes, tylko lepszy

Świat

- 50** Andrzej Lubowski
USA Kac przedwyborczy
- 53** Jędrzej Winiecki
ROSJA Dmitrij Pieskow, oddany rzecznik Putina
- 56** Paulina Wilk
INDIE – WIELKA BRYTANIA Diament niezgody
- 60** Patrycja Sasnal
Jak Zachód wymyślił Bliski Wschód



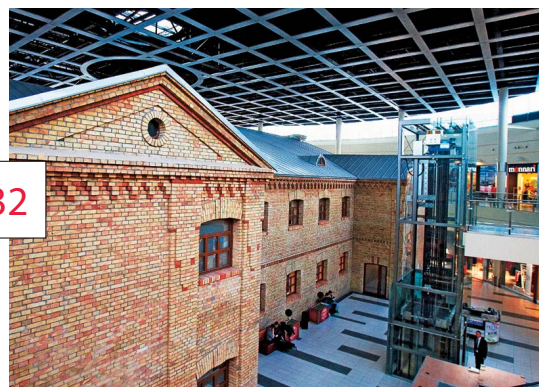
22

Wyrok na sądy?



26

Tercet madrycki wciąż w grze



32

Kazamaty Plaza



50

USA: kampania brukowa



Historia

- 64** Marian Turski
Nagrody Historyczne POLITYKI 2016: Przegrani i wygrani
- 66** Andrzej Krawczyk
Niezdrowa sanacja

Nauka

- 70** Agnieszka Krzemińska
Z dziejów sprzątania
- 74** Edwin Bendyk
Miejskie insurekcje
- 75** TECHNOECHO
- 76** Paweł Walewski
Kardiolog i kardiochirurg, połączcie siły!

Kultura

- 82** Piotr Sarzyński
Nagrody Architektoniczne POLITYKI 2016: nominacje
- 87** KAWIARNIA LITERACKA
Jacek Dehnel
- 88** Jarek Szubrycht
Nowa twarz Moniki Brodki
- 92** Kuba Dąbrowski
Człowiek w ujęciu Yanna Arthusa-Bertranda
- 95** MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 96** Rozmowa z **Dorotą Rogowską-Szadkowską** o mitach związanych z medyczną marihuaną
- 100** Joanna Tracewicz
Polskie pokoje wściekłości
- 102** Henryk Samsonowicz
Janusz Tazbir – historyk z humorem

Na własne oczy

- 108** Joanna Leszczyńska, fotografie Anna Musiałówna
Wspomnienia dawnych maturzystów

Stałe rubryki

- **4** Młeczko
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **78** Afisz • **103** Passent
- **104** Hartman • **105** Tym
- **106** Do i od redakcji
- **107** Fusy, plusy i minusy
- **114** Polityka i obyczaje



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

Z ŻYCIA SFER

Witamy w Europolu

Nie wiadomo, ile osób uczestniczyło w marszu KOD i partii opozycyjnych w minioną sobotę w Warszawie. Szacunki wahają się od 40 tys. do 250 tys., przy czym różne szacujące strony zarzucają sobie nawzajem brak szacunku dla strony przeciwnej. Niezależnie jednak od liczby uczestników, jeśli demonstrowali oni na rzecz pozostania Polski w Europie, to czas przeznaczony na to wypadła uznać za stracony. Jak trafnie zauważył już w sobotę wieczorem prezydent Andrzej Duda, nie ma dzisiaj poważnych polityków, którzy mówią, że powinniśmy opuścić Unię Europejską. A prezes Jarosław Kaczyński jeszcze w poniedziałek 2 maja stwierdził wyraźnie, że traktujemy naszą obecność w UE jako trwałą i potrzebną. Zaznaczył oczywiście, że obecność w UE nie oznacza zgody na wszystko, a w szczególności na sytuację naruszającą bezpieczeństwo Polaków, a zwłaszcza Polek.

Rzecz więc nie w tym, czy mamy być w Europie, ale w tym, jakie warunki Europa musi spełnić, byśmy mogli w niej pozostać wraz z naszymi kobietami. To powinno być przedmiotem dojrzałego namysłu, o tym należy dyskutować. Europa, w której Polska może pozostać, nie może być Europą, która Polsce zagraża. W szczególności nie może nam zagrażać zalaniem hordami

uchodźców. Chyba dość już powiedziano i dano do zrozumienia w kwestii, jakie krzywdy mogą ci uchodźcy wyrządzić nam i naszym kobietom. Nie wolno też – gdyby doszło, jak proponuje Europa, do wymiany uchodźców na pieniądze – wyceniać ich zbyt wysoko. Suma 250 tys. euro za sztukę to o wiele za dużo, podobnie jak liczba 250 tys. demonstrantów w Warszawie.

Dalej – nie może Europa wtrącać się w nasze sprawy, ganić nas, pouczać. Przedstawiciele różnych jej instytucji, nieposiadający demokratycznego mandatu wydanego przez większość polskich wyborców, nie powinni w kółko do nas przyjeżdżać, z zaproszeniem albo bez, węszyć, niuchać, a potem wypowiadać się w sposób nieodpowiedzialny w kwestiach, w których trzeba być Polakiem, żeby cokolwiek zrozumieć. Ci przedstawiciele i inni europejscy politycy, a także niechętnie do nas nastawieni dziennikarze, najwyraźniej nie zdają sobie sprawy, że ich wypowiedzi mogą się przyczynić do obniżenia oceny Polski przez agencje ratingowe, co bezpośrednio zaszkodzi naszym interesom gospodarczym.

A więc Europa – tak, ale taka, która nie wmusza w nas swych wątpliwych przekonań, regulacji i skompromitowanych hasel, lecz przeciwnie, czerpie ze skarbnicy naszych idei i doświadczeń. W takiej Europie możemy ewentualnie pozostać i na rzecz takiej Europy możemy sobie demonstrować.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JP



 tchibo.pl

O! JAKIE SPRYTNE

okno na świat

wyspij się
za dwóch

sam się rozkłada
- to jego zasada

Równie szybko go rozłożysz,
co w poręczną torbę złożysz.

Szukaj w sklepach Tchibo i na Tchibo.pl

Namiot
samorozkładający się
dla 2 osób



Odkryj to [własnie](https://tchibo.pl) w Tchibo

Przeżyj to sam



Jerzy Baczyński

Chyba każdy, kto mógł wziąć udział w sobotnim marszu KOD i opozycji, miał poczucie uczestnictwa w wydarzeniu historycznym, największej, jak by nie było, manifestacji politycznej w historii III Rzeczypospolitej. Dramatyczne próby TVP, aby najpierw nie pokazać marszu, przykryć wydarzenie czałem z Jarosławem Kaczyńskim, potem dyskredytować komentarzami, a na koniec dowodzić, że wszyscy uczestnicy parogodzinnego gęstego przemarszu zmieściliby się na stadionie piłkarskim, były manipulacją w stylu telewizji stanu wojennego. Przypomniał mi się tekst przeboju grupy Lombard z początku lat 80. „Przeżyj to sam”; „Widziałem wczoraj znów w Dzienniku (...) ogromne morze ludzkich głów/A spiker cedził ostre słowa/od których nagle wzbierała złość...”.

Wciąż zastanawiam się, czy oni naprawdę wierzą w swoją własną propagandę, czy to jest cynicznie adresowane „do ludu”? Bo jakich zabiegów trzeba dokonać na własnym mózgu, żeby wzbudzić w sobie pogardę i lekceważenie wobec tysięcy (a w domyśle milionów) normalnych, pokojowo nastawionych ludzi, z różnych pokoleń, miast i środowisk, którzy nie popierają PiS i nie podzielają kultu Prezesa, ale jednak przejmują się losem Polski? Jak na nich patrzy – bo chyba widział – sam Prezes; jak na podludzi w okupowanym, podbitym kraju, niegodnych uwagi i wysłuchania? I dlaczego tak? Bo wygrał wybory, zdobywając 18 proc. ogółu wyborców i cztery miejsca przewagi w Sejmie? Ta demonstracja była dowodem, że ci inni Polacy istnieją, nigdzie się stąd nie wyniosą, nie chcą się zamknąć, ukorzyć, chodzą, drwią i drażnią.

Pan minister Waszczykowski, nonszalancki wyraziciel różnych pisowskich myśli, wzywał swoich, żeby tę i następne ewentualne demonstracje KOD ignorować; niech sobie chodzą i tak nic z tego nie wynika. Otóż, przestrzegałbym przed taką pochopnością.

Nastrój pochodu, złośliwy, owszem, ale nieagresywny, raczej zabawowy niż wściekły, nie powinien mylić. W Polsce polityka wyszła na ulice. Można to traktować, słusznie, jako sukces społeczeństwa obywatelskiego i połączonych sił opozycji, ale to zarazem dowód niewydolności, niedrożności systemu politycznego, zamkniętego dziś na jakikolwiek dialog, kompromis, negocjacje. To nie jest dobrze. Oczywiście, demonstracje są przyjętą w demokracji formą wyrażenia opinii czy artikulacji interesów, ale jeśli polityka ignoruje, nie próbuje rozładować gromadzącej się na ulicach i placach energii protestu, grozi eskalacja, a nawet wybuch. Regułą jest, że rządy skonfrontowane z demonstrantami (zwłaszcza jeśli protest ma dużą skalę) jakoś tam próbują nastroje uspokoić, wciągnąć w negocjacje przedstawicieli protestujących, wycofać się ze szczególnie kontestowanej decyzji, odwołać niepopularnego ministra; taktyki i techniki polityczne są różne. Jednak praktyka krajów demokratycznych raczej nie zna metody pisowskiej: obrażania demonstrujących, wyzywania ich od złodziei, komunistów, zdrajców, przypisywania animalnych, szczególnie świńskich cech, odmawiania prawa do szacunku, do patriotyzmu. Wydaje się, jakby zamysłem, a może tylko emocją, lidera było podgrzewanie nastrojów, dokładanie do pieca.

WPRL też tak bywało, ale tam władza była zdeterminowana, aby sięgnąć po umundurowaną przemoc. Chyba u nas tak nie jest? Ale niepokojące sygnały się gromadzą. Przykładem ostatnia deklaracja Prezesa, że nie pozwoli („w imię wolności”) na jakiegokolwiek ograniczenie mowy nienawiści (kibice Legii już podchwycili ton i grozą „wrogim” dziennikarzom szubienicą). Przywykło się komentować, już z pewną taką wyrozumiałością, że Prezes lubi zarządzać przez konflikt, kryzys, agresję, przesadę. Ale coraz większa grupa psychologów społecznych i politologów ostrzega, że taka technologia nie jest bezkarna. „Zaczyna się od złośliwości, zastraszenia, szyderstw, kpin” – pisał w „GW” Brytyjczyk Umair Haque. Potem są administracyjne szykany. Dalej, stygmatyzacja, odczłowieczanie przeciwnika. Następnym krokiem jest przemoc. „Raz wprawiony w ruch proces coraz trudniej powstrzymać”.

Nie wiem, dlaczego PiS zakłada, że tak zwana strona liberalna, spacerująca sobie po ulicach Warszawy, jest pozbawiona honoru, wyprana z emocji, niezdolna do mobilizacji i samoobrony w sytuacji zagrożenia? Czy PiS odpowiada sytuacja, że sami pozamykają się w gabinetach i gmachach władzy, a ulicami rządzić będzie opozycja? A może zechcą zorganizować własne, silniejsze kontrdemonstracje lub bojówki? Polityka uliczna to bardzo niebezpieczna gra, łatwo może przerodzić się w fizyczną konfrontację, blokady, majdany, okupacje placów i budynków, w niebezpieczny dla wszystkich chaos. W sobotę odbyła się pogodna, piknikowa, ale potężna demonstracja sprzeciwu wobec „podłej zmiany”. Wmawianie sobie i kolegom, że maszerowało tylko 40 tys. oligarchów, jest najgłupszą z możliwych reakcji. Nie zmarnujcie, panie i panowie z PiS, tego dnia.

Jan Koza



© JAN KOZA



Nowa konstytucja? A po co?

Kadry PiS próbują odczytywać intencje prezesa, ale czytających jest tak wielu, że powstaje chaos.

Minister finansów wysłał dość dziwny w treści i ekstrawagancki, gdy idzie o obyczaje, list do prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Dziwny, bowiem zasugerował, aby prezes przynajmniej do 13 maja nie zabierał publicznie głosu, gdyż jego wypowiedzi mogłyby wpłynąć na obniżenie ratingu Polski przez agencję Moody's, co jest zdarzeniem raczej spodziewanym. Prezes Rzepliński akurat ostatnio specjalnie gadatliwy nie był, a więc intencja listu do końca jasna nie jest. Trudno przecież potraktować poważnie wypowiedzi niektórych polityków PiS, że to Rzepliński szkodzi Polsce i on osobiście za rating odpowiada. Chociaż niektórzy politycy PiS potrafią wypowiadać największe głupstwa z powagą i wielkim zaangażowaniem, taka operacja znalezienia winnego ma minimalne szanse powodzenia. Nawet wśród najwierniejszych wyborców PiS, z których większość być może nie wie (podobnie zresztą jak większość Polaków), czym owe ratingi w istocie są, a jeszcze niedawno przekonywano ich, że rating to nie taka ważna sprawa, gdy fundamenty gospodarki są zdrowe. Minister finansów pomylił adresatów. Gdyby napisał do prezydenta z sugestią przyjęcia ślubowania od trzech prawidłowo wybranych sędziów czy do pani premier, aby wydrukowała orzeczenie TK, co zresztą należy do ich konstytucyjnych obowiązków, kwestia Trybunału została by natychmiast rozplątana. Może wtedy rating byłby uratowany. Może nawet w zagranicznych mediach pojawiłyby się pochlebne dla rządzących komentarze, a marsze opozycji straciłyby impet i policja nie musiałaby tak intensywnie trenować zadań z dzielenia, czyli przerabiania ponad 200 tys. ludzi w ledwie czterdzieści. Niestety, minister finansów wybrał drogę politycznej awantury, bo tylko tym pisanie takich listów może się skończyć. Rządzenie poprzez wywoływanie konfliktów i podgrzewanie temperatury życia publicznego jest oczywiście ulubioną metodą PiS, zwłaszcza prezesa, ale dlaczego w ten scenariusz wpisuje się minister finansów, który powinien być oazą spokoju?

Dotychczas wydawało się, że wszystko, czego jesteśmy świadkami, jest zimną kalkulacją Jarosława Kaczyńskiego, ale chyba jednak lider gdzieś się zapętlił, a szeregi wyraźnie nie nadążają. Próbuje odczytywać intencje, ale czytających jest tak wielu, że znów rodzi się chaos. Posłowie składają projekt kolejnej nowelizacji ustawy o TK, która jeszcze bardziej płacze sprawę i nie jest żadnym krokiem w dobrym kierunku, prezes nieodmiennie powtarza, że wyroku wydrukować nie można, bo jest niezgodny z konstytucją. Na dodatek spora grupa polityków i komentatorów niejasno gaworzy o jakimś kompromisie, w który to chór, niestety, włączył się także prof. Rzepliński, opowiadając o tajnych wysłannikach prezesa z tajnymi „kompromisowymi” misjami.

Można wyczuć, że kwestia TK prezesowi Kaczyńskiemu doskwiera bardziej, niżby chciał pokazać, ale widać też, że się nie cofnie. Ciekawe, ile jeszcze projektów nowelizacji ustawy o TK pojawi się w tym roku? Wnoszenie kolejnych, a więc przyznawanie się stopniowo, że poprzednie były fatalne, może być sposobem dotrwania w stanie kryzysu do końca kadencji prof. Rzeplińskiego, której kres powszechnie uważa się, nie wiedzieć zresztą czemu, za koniec kryzysu. Chyba tylko w tym sensie, że po tej kadencji Trybunał nie będzie miał już większego znaczenia i powiększy pole politycznych łupów, co dla partii rządzącej jest zawsze atrakcyjne.

Jeśli jednak uznać, że list ministra finansów odegrał jakąś pozytywną rolę, to być może tę, że nieco zdusił „debatę” konstytucyjną zainicjowaną przez prezesa Kaczyńskiego. Też jedną z najdziwniejszych, właściwie kuriozalną. Projektu partia rządząca nie ma (poprzedni schowała, aby nie pokazywać autorytarnych

pazurków), nie ma ich opozycja, nawet balansujący między opozycyjnością i koalicyjnością Kukiz'15 ma ledwie kilka haseł, mocno wyeksploatowanych w kolejnych kampaniach. Nikt nie ma konstytucyjnej większości w parlamencie i nawet jeśli PiS jako grupę posłów dokupi, to też nic z tego nie będzie. Ponadto – i to jest być może kwestia zasadnicza – nowa konstytucja nie jest PiS do niczego potrzebna. Bez niej radzi sobie znakomicie, uchwalając kolejne niekonstytucyjne ustawy i zapowiadając dalsze, o tych samych niekonstytucyjnych „walorach”. Nawet jeśli TK za kilka miesięcy w jakiejś formie fasadowo-przetrwalnikowej odżyje, to stos niekonstytucyjnego prawa, cieszącego się przecież co do zasady domniemaniem konstytucyjności, będzie tak wielki, że latami przyjdzie się z nim zmagać i skutków nikt już nie odwróci.

Jarosław Kaczyński bez zmiany konstytucji osiągnął już bardzo wiele, uchwycił prawie wszystkie instrumenty potrzebne do rządzenia, w tym te, do których przywiązuje największą wagę: kontrolę nad resortami siłowymi, służbami specjalnymi, prokuraturą, w której kadrowe przetasowania mające na celu uczynienie jej sprawną maszynką władzy idą pełną parą, na co każdy dzień przynosi dowody. Generalnie zasada jest taka: swoich bronimy, czyli umarzamy albo nie podejmujemy spraw; nie swoich ścigamy i grzebiemy w papierach, by coś znaleźć. Mediami, które już niedługo będą narodowe, prezes nawet sterować nie musi. Nowe ekipy służalczą i stopniem manipulacji biją peerelowskie rekordy.

W sferze gospodarczej kadrowa czystka już się dokonała, w administracji na kierowniczych stanowiskach dokonała się w połowie, dalsza wymiana kadr uzależniona jest chyba głównie od wyjątkowo marnych partyjno-rodzinnych zasobów. Kto był pod ręką, robotę już dostał, teraz przyszedł czas na tych, którzy zdołają szybko przejrzeć i dostrzec zalety „dobrej zmiany”. Może w nagrodę coś dostaną. Lada tydzień w ręce PiS wpadnie IPN, instytucja bardzo ważna dla projektu nowej wielkiej Polski ze względu na konieczność prowadzenia jedynie słusznej polityki i edukacji historycznej. Przy okazji niezwykle pomocna w rozprawianiu się z tymi, którzy, wedle pisowskiej nużącej już propagandy, nie mogą pogodzić się z utratą władzy i własnych pozycji w III RP i organizują się w opozycyjnych platformach, jak KOD czy porozumienie Wolność, Równość, Demokracja. Ich się prześwietli do trzeciego pokolenia, a może i dalej.

Jest już tak dobrze, że prezes może nawet deklarować się jako zwolennik Unii Europejskiej, z której Polski nigdy nie wyprowadzi. I zapewne tylko przez nieporozumienie akurat w tym czasie pani premier likwiduje instytucje, których posiadanie jest dla przestrzegania unijnych standardów ważne, jak choćby radę przeciwstawiającą się rasizmowi i pilnującą tolerancji. A może likwiduje, bo właśnie prezes zapowiedział, że żadnych ustaw przeciwko mowie nienawiści nie będzie? Narodowców chce przytulić?

Pozostaje jeszcze rozprawa z wymiarem sprawiedliwości (czytaj s. 22), która się właśnie zaczyna projektem zmian w Krajowej Radzie Sądownictwa. Wygasi się mandaty obecnych jej członków, niepokornych, którzy dziś wytykają łamanie konstytucji, wybierze takich jak trzeba, najlepiej z małych sądów rejonowych, bo każdy z autorytetem przeszkadza „dobrej zmianie”. Ci z dołu mają być bardziej pokorni, co jest dla nich rekomendacją raczej uwłaczającą, ale widocznie PiS mocno liczy na konformizm. Reszty dokona prezydent, wybierając przewodniczącego. I po co Kaczyńskiemu nowa konstytucja?

Marsz przekornych

Pod hasłem „Jesteśmy i będziemy w Europie” w ostatnią sobotę ulicami Warszawy przeszedł największy jak dotąd marsz opozycji. „Gorszy sort” protestował przeciw „podłej zmianie”.

To był spektakularny antyrządowy protest, w którym – według szacunków warszawskiego ratusza – wzięło udział blisko ćwierć miliona ludzi. I choć podległa ministrowi Błaszczakowi policja oraz propisowskie „Wiadomości” utrzymują, że manifestujących było pięć razy mniej, to bez wątpienia tak liczne zgromadzenie nie udało się dotychczas zorganizować żadnej sile politycznej. PiS, który za czasów rządów PO współ ze związkowcami, Rodziną Radia Maryja i klubami „Gazety Polskiej” niejednokrotnie wyprowadzał ludzi na ulicę, nigdy nie osiągnął, nawet w przybliżeniu, takiej frekwencji i nie połączył ze sobą tak różnorodnych środowisk. Liberalistów, lewicowców i konserwatystów, młodych i emerytów, wegan, mięsożerców, cyklistów, z dużych miast i małych miejscowości. Wszystkich tych, którzy sprzeciwiają się zawłaszczaniu instytucji państwa przez jedną partię, nieposzanowaniu prawa, wyprowadzaniu Polski z Europy i psuciu wizerunku kraju.

Rozmach marszu zwrócił uwagę licznych mediów światowych. W czasie, kiedy Unia przeżywa kolejne kłopoty, a obawy przed napływem uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki pogłębiają nastroje antyeuropejskie, przez centrum stolicy jednego z państw członkowskich przemaszewowała imponująca rzesza ludzi demonstrujących dumę z bycia w UE. I to w kraju, w którym wybory wygrała eurosceptyczna partia, a do parlamentu weszli nacjonaliści. Znowu zaskoczyliśmy.

Odwroceniu uwagi od rekordowego marszu opozycji służył czat z Jarosławem Kaczyńskim na Facebooku, transmitowany na żywo w TVP Info. Poseł Kaczyński atakował protestujących, straszył, że chcą ściągnąć do Polski uchodźców, zaprowadzić monarchię (to zdaje się miał być dowcip, nawiązujący do wpadki Ryszarda Petru z konstytucją); zapowiedział repolonizację mediów i wyznał, że lubi bigos. Wagę marszu miał też pomniejszyć prorządowy pochód narodowców i Krucjaty Różańcowej dla Ojczyzny pod hasłem „Odwagi, Polsko! Maryja zwycięży!”. Ale i to niezbyt się udało.

Gęsty tłum ściągnął w okolice placu Na Rozdrożu jeszcze przed godz. 13, na którą oficjalnie zaplanowano rozpoczęcie marszu. Były flagi Polski i Unii, kolorowe transparenty, partyjne emblematy, wesołe lub złośliwe hasła adresowane głównie do Jarosława Kaczyńskiego, Beaty Szydło i Andrzeja Dudy. Jeden z bardziej kąśliwych plakatów przedstawiał wspomnianą trójkę i podpis: „Satrapa, atrapa i fajtlapa”. Ale były i bardziej ironiczne transparenty, jak

np. „Uprasza się o zachowanie ciszy. Rejtingi się płoszą” (to à propos listu min. Szałamachy do prezesa Rzeplińskiego) czy „Jarosław, Polskę zostaw!” (nawiązujące do propisowskiego „Jarosław, Polskę zbaw!”) albo konkretne: „Beata!, drukuj ten wyrok!”, „Dobra zmiana to jest bzdura. To jest zwykła dyktatura”, „Twórcie historię zamiast ją powtarzać”. W tle leciały szlagiery „Chcemy być sobą”, „Mój jest ten kawałek podłogi”, „We Are The Champions”.

Nagłośnienie zapewniono na całej przeszło trzykilometrowej trasie pochodu. Chodziło o to, żeby ludzie nie odchodzili,

zniechęceni tym, że nie słychać, co się dzieje. Tym bardziej że tłum był tak gęsty, że kiedy czoło marszu dochodziło już do placu Piłsudskiego, gdzie manifestacja miała się zakończyć, ostatnia grupa demonstrantów wciąż była w pobliżu placu Na Rozdrożu. Marsz zakończył się ok. 16.20. Na placu Piłsudskiego raz jeszcze wystąpili liderzy opozycji, na koniec zagrał Big Cyc, który właśnie wydał „mocno polityczną” płytę „Czarne słońce narodu” (jak tłumaczą artyści, album jest ich „głosem w batalii o przyszłość”).

Marsz oficjalnie organizowały PO, KOD i opozycja (spod znaku Nowoczesnej,



© KACPER PEMPEL/REUTERS/FORUM



Manifestacja jedności liderów partii i organizacji opozycyjnych podczas marszu „Jesteśmy i będziemy w Europie”, 7 maja, Warszawa

PSL i stowarzyszenia Inicjatywa Polska, któremu prezesuje Barbara Nowacka), choć formalnie to Platforma zgłosiła manifestację do ratusza i wyłożyła najwięcej pieniędzy. – *Całość kosztowała naszą partię co najmniej kilkaset tysięcy, będziemy to dopiero liczyć, ale zorganizowaliśmy 250 autokarów* – podkreśla jeden z czołowych polityków PO. – *KOD ściągnął 70 autokarów, a Nowoczesna – 3, dobre i to* – dodaje, wyraźnie zadowolony, że manifestujących było dwa razy więcej, niż się spodziewali. Dopytywany o kolportowane przed marszem plotki, że przewodniczący Schetyna nakazał działaczom i politykom PO stawienie się na demonstracji albo zorganizowanie zastępstwa, ucina: – *W moim regionie do tej pory było naprawdę ciężko ruszyć ludzi, ale teraz bez kłopotu, sami chcieli jechać, nawet dziewczynę z KOD zabraliśmy!*

Współpraca opozycji „ponad podziałami” nie szła jednak tak gładko, jak mogłoby się wydawać. Oś sporu stanowiło to, kto jest głównym organizatorem marszu. Platforma, która sporo zainwestowała w przygotowanie przedsięwzięcia, zainicjowała je, nie chciała występować jako jedna z partii opozycyjnych towarzyszących KOD. Z kolei kodowcy chcieli zaznaczyć swoją

odrębność i apartyjność. A Ryszard Petru nie chciał, żeby cały sukces przypadł Schetynie, skoro to on sam już kilka miesięcy temu obwołał się liderem opozycji. Problem uwidocznił się przy opracowywaniu materiałów graficznych – plakatów i banerów reklamujących marsz. Poszło o obecność partyjnych emblematów PO. W końcu Platforma przygotowała własną reklamę (w tym spot, w którym Schetyna wystąpił w stylizacji ludzko podobnej do Franka Underwooda z „House of Cards”), KOD i pozostałe partie miały swoją.

W użyciu była też alternatywna nazwa Błękitny Marsz, nawiązująca do antyrządowego protestu sprzed dekady. Co więcej, KOD i opozycja zapraszały na marsz pod Kancelarię Premiera (Al. Ujazdowskie), zaś PO – pod Trybunał Konstytucyjny (al. Szucha). – *Przyczyna jest prozaiczna: dostaliśmy od policji informację, że na Szucha wszyscy się nie zmieszczą, więc musieliśmy zająć także Ujazdowskie* – tłumaczy szef klubu PO Sławomir Neumann. Symbolicznie wszyscy mieli się spotkać i połączyć przy placu Na Rozdrożu.

Platforma nie przystąpiła też do zawiązanej w ubiegły czwartek koalicji środowisk opozycyjnych Wolność, Równość, Demokracja, w której oprócz KOD, Nowoczesnej

i PSL znalazły się: Inicjatywa Polska, SLD, Zieloni, Partia Demokratyczna i Stronnictwo Demokratyczne. – *Co by nam to dało? Mielibyśmy występować razem z Czarzastym albo Piskorskim?! – kpi jeden z posłów PO.*

Grzegorz Schetyna chce uniknąć ściągania Platformy na lewo. Alianse z lewicą, w jego opinii, nie przydadzą Platformie głosów. Powrót do korzeni, tj. odzyskanie elektoratu konserwatywno-liberalnego, zapowiadał jeszcze w kampanii na szefa PO. Jego głównym zadaniem jest teraz odbudowanie poparcia. Wewnątrzpartyjna opozycja skupiona wokół Ewy Kopacz (m.in. Michał Kamiński, Stefan Niesiołowski, Jacek Protasiewicz, Sławomir Nitras, Bożena Bukiewicz) zadania Schetynie nie ułatwi. Ale nowy przewodniczący w sobotę pokazał, że potrafi być skuteczny. To był jego pierwszy poważny sprawdzian.

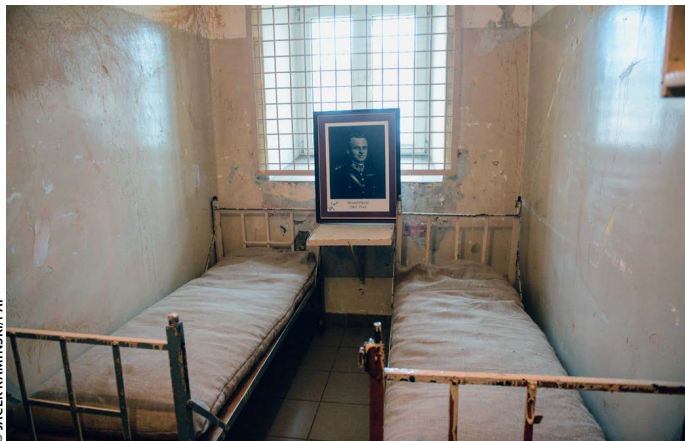
Jednocześnie jednak wysoko podniesiono poprzeczkę. Następną manifestacja będzie musiała być jeszcze liczniejsza, inaczej pisowscy akolici z nieskrywaną satysfakcją będą twierdzić – jak przed każdą kolejną manifestacją – że poparcie dla opozycji topnieje.

MALWINA DZIEDZIC

Rozmowa z Mateuszem Kijowskim s. 14.

Ostatnie widzenie

Najsłynniejsze więzienie w Polsce, przy Rakowieckiej w Warszawie, będzie zamknięte. A raczej otwarte, ale dla zwiedzających. W zakładzie powstanie muzeum żołnierzy wyklętych.



było głównym miejscem kaźni dla działaczy politycznej opozycji. Wybór tego miejsca na siedzibę muzeum żołnierzy wyklętych był więc niemal automatyczny – mówi prof. Tomasz Nałęcz, doradca prezydenta Komorowskiego. Według szacunków historyków stracono tam około 350 działaczy podziemia niepodległościowego, w tym m.in. generała Fieldorfa-Nila. Pomimo zapowiedzi Platformy Obywatelskiej zabrakło determinacji, żeby zrealizować swój pomysł. – Według naszych planów muzeum miało mieścić się w świetnie zachowanym pawilonie numer 1, który sam w sobie jest perełką architektury więziennej – dodaje prof. Tomasz Nałęcz.

Pis nie tylko planuje stworzenie nowego muzeum, ale też całkowitą likwidację aresztu przy Rakowieckiej 37. Przy okazji Służba Więzienna straci jednak swoją główną siedzibę i związane z nią zaplecze logistyczne. Tu urzęduje bowiem szef Służby Więziennej i cały Centralny Zarząd SW. Mieszczą się tam również magazyny i kilka innych instytucji, w tym: Stacja Kontroli Pojazdów, szpitalny oddział psychiatryczny, drukarnia. – Sprawa zrobienia z więzienia muzeum ciągle nie mogła ruszyć, bo nie było pieniędzy i pomysłu, gdzie to wszystko przenieść. Nowa władza postanowiła się tym nie przejmować i najpierw tworzy muzeum, a później będzie zastanawiać się, co dalej – mówi prosiący o anonimowość funkcjonariusz.

Zakład ma pojemność na ponad 850 osadzonych. Z ich rozlokowaniem w innych więzieniach nie powinno być problemu, bo od kilku miesięcy w polskich zakładach jest więcej miejsc niż osadzonych. Kłopotem będzie znalezienie finansowania nowej instytucji, bo w tym samym momencie powstaje kilka prestiżowych przedsięwzięć muzealnych. Ale tym też pewnie w ministerstwie będą się martwić później.

(JULL)

Oficjalnych dokumentów jeszcze nie ma, ale nadzorujący Służbę Więzienną wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki już poinformował o tym funkcjonariuszy. Funkcjonowanie aresztu ma być wygaszane stopniowo. Nie później jednak niż do końca 2017 r. Temat nie jest nowy, bo pomysł narodził się jeszcze za czasów prezydenta Bronisława Komorowskiego. – Więzienie przy Rakowieckiej do 1956 r.

Niczym Mościcki

Uskarżający się na małe kompetencje prezydent Duda z kompetencji orderowej korzysta w pełni.

Andrzej Duda, obejmując urząd Prezydenta RP, automatycznie stał się Wielkim Mistrzem Orderu Orła Białego i przewodniczącym Kapituły stojącej „na straży honoru” orderu. W jej składzie był już wówczas wakat po zmarłym Kanclerzu Kapituły Władysławie Bartoszewskim. Niebawem z zasiadania w niej zrezygnowali Henryk Samsonowicz i Aleksander Hall (po ułaskawieniu przez prezydenta byłego szefa CBA), a także Jerzy Buzek. 25 lutego 5-letnia kadencja wygasła Krzysztofowi Pendereckiemu i w Kapitułę pozostał sam prezydent.

Powoływanie członków kapituł orderowych jest jego wyłączną prerogatywą. Członkiem może być jedynie kawaler (dama) OOB z polskim obywatelstwem. Do 3 maja, kiedy prezydent nadał order sześciu nowym osobom, prezydent mógł uzupełnić skład Kapituły spośród 24 osób spełniających powyższe kryteria. Są wśród nich byli prezydenci (3), byli premierzy (3), duchowni (3), byli prezesi NBP i Sądu Najwyższego, osoby ze świata nauki i kultury oraz byli opozycjoniści. Jest też czterech



kawalerów z orderem nadanym przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego (kardynał Henryk Gulbinowicz, Jan Olszewski oraz Andrzej Gwiazda i Bogusław Nizieński, którzy w Kapitułę już zasiadali, ale ustąpili, protestując z kolei przeciwko polityce orderowej prezydenta Komorowskiego).

Prezydent, nadając order, zwraca się o wyrażenie opinii (choć może tę procedurę pominąć) do członków Kapituły na jej posiedzeniu bądź – co statut dopuszcza – korespondencyjnie. Kapituła opinię przyjmuje zwykłą większością głosów i w sposób tajny, jeśli taki padnie wniosek. Ale nawet opinii negatywnej prezydent nie musi respektować. Wnioski o nadanie OOB składać może też prezes Rady Ministrów (Kapituła ma obowiązek je opiniować) i sama Kapituła. Czy te wnioski zostaną uwzględnione, zależy tylko od woli prezydenta.

Uskarżający się ostatnio w mediach na małe kompetencje prezydent Duda z kompetencji orderowej korzysta w pełni.

Te inspirowane polityką personalne zawirowania wokół Kapituły skłaniają do pytania, czy nie należałoby wrócić do rozwiązań orderowych z pierwszych lat II RP. Kapitułę OOB większością głosów w tajnym głosowaniu wybrało zgromadzenie Kawalerów OOB (zapraszano wszystkich). Od tej zasady odstąpił wybrany po zamachu majowym prezydent Ignacy Mościcki (nie zwoływał Zgromadzeń Kawalerów ani posiedzeń Kapituły, do której tuż przed zamachem weszli polityczni przeciwnicy). Wreszcie w 1932 r. do ustawy wpisano, iż członków Kapituły „wyznacza” prezydent. Tę „sanacyjną” praktykę stosujemy i dziś.

MAREK HENZLER



Włoska moda w drodze do Mediolanu

Nowy Terminal - nowe marki

Odkryj nasze nowe sklepy

[Kup książkę](#)



**LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA**

Koniec tureckiego Kissingera

KOMENTARZ



Łukasz Wójcik

Niebezpiecznie jest podsumowywać polityków, dopóki żyją. Ale ten raczej już umarł politycznie, więc ryzyko jest umiarkowane. W dodatku odszedł po cichu, a akurat jemu należały się w Ankarze pożegnalne fanfary. W ubiegłym tygodniu ze stanowiska premiera Turcji zrezygnował Ahmed Davutoğlu, wcześniej szef MSZ, twórca tureckiej polityki zagranicznej w XXI w. Rozmach, z jakim ją zmienił, można porównać tylko ze zwrotem w polityce zagranicznej USA, którego dokonał Henry Kissinger. Obaj zresztą byli najpierw cenionymi akademikami. Davutoğlu zyskał uniwersytecką sławę jako twórca pojęcia „strategicznej głębi”. W książce pod takim tytułem przekonywał, że Turcja musi zaczerpnąć z osmańskiej przeszłości i budować pozycję wobec Zachodu w oparciu o wpływ na Bliskim Wschodzie. Teza o tyle rewolucyjna, że przez zimną wojnę Turcja była od tego regionu odcięta. I do pewnego stopnia to się udało: turecka gospodarka zakwitła dzięki kontaktom ze Wschodem, a Zachód hołubił Turcję jako model dla świata muzułmańskiego. Dziś, biorąc pod uwagę klęskę arabskiej wiosny i wojnę domową w Syrii, łatwo wytykać Davutoğlu naiwność. Ale były już premier Turcji, tak jak Kissinger, robił w polityce zagranicznej tylko (lub „aż”) to, co było możliwe.

Odszedł, bo stracił zaufanie prezydenta Recep Tayyipa Erdoğan – ich wizje państwa rozchodziły się od dawna, ale w wyniku coraz silniejszych autorytarnych zapędów Erdoğan rozszedł się nie do zaakceptowania dla obu polityków. Teraz prezydent Turcji próbuje umniejszać rolę swojego wieloletniego podwładnego. Przypisuje sobie m.in. wynegocjowanie umowy w sprawie migrantów z Unią Europejską, która jeszcze w tym roku może dać Turkom prawo do bezwizowego wjazdu do Unii. Wszyscy w Turcji jednak wiedzą, że to zasługa byłego premiera.

Davutoğlu ma jednak na koncie projekt, który go niewątpliwie przeżyje: przyjęcie przez Turcję ponad 2,5 mln głównie syryjskich migrantów. Wiele polityków w Europie wskazuje to jako przykład bezprecedensowego humanitaryzmu w obliczu ludzkiej tragedii. Ale dla Davutoğlu humanitaryzm był przy okazji. Premier nie ukrywał w zeszłorocznych przemówieniach, że chodzi o długofalowy projekt kształtowania całego pokolenia Syryjczyków. Wojna w Syrii kiedyś się skończy, większość z nich wróci do domu. Ale wcześniej będą się uczyć w tureckich szkołach, poznają język turecki, powstaną wiele syryjsko-tureckich małżeństw i biznesów.

W tym kontekście dla Ankary nie ma tak naprawdę znaczenia, kto wygra wojnę w Syrii. W dłuższej perspektywie i tak zwycięży Turcja.



© PAP/EPA

Siedmioletnia odyseja

Kolejny wielki strajk sparaliżował Grecję.

W ostatni weekend Grecja stanęła, nie funkcjonował transport publiczny ani promy między kontynentem a wyspami, media nie nadawały wiadomości, a lekarze odeszli od łóżek pacjentów. Na ulicę wyszli też dentyści, urzędnicy miejscy i śmieciarze. I od początku roku był to już czwarty tak duży strajk. Wszystko przez cięcia i oszczędności, które wymusza rząd, naciskany z kolei przez Brukselę. Teraz poszło właśnie o przegłosowany w parlamencie kolejny pakiet reform, zakładający podwyższenie podatku VAT od prądu i wody, cięcia wynagrodzeń w budżetówce oraz obniżenie emerytur, które zresztą redukowano już 11-krotnie. Cały ten pakiet, według rządu, ma przynieść ponad 5 mld euro oszczędności.

Żeby dostać trzecią transzę pożyczki, rząd musi pokazać Brukseli, że Grecja nie tylko prosi o pomoc, ale też sama zaciska pasa. Koalicja rządowa ma jednak 153 posłów w 300-osobowym parlamencie, więc przy tak małej przewadze coraz trudniej jest jej przegłosowywać reformy. Na zmiany czeka jeszcze wiele sektorów gospodarki. A Grecja na unijnej kropłownicy jest już siódmy rok, i końca tej operacji nie widać. Teraz jeszcze okazało się, że MFW żąda 3,6 mld euro dodatkowych oszczędności, które miałyby być czymś w rodzaju bufora finansowego zabezpieczającego wierzycieli w przypadku kłopotów finansowych Grecji. Jednak dla ledwo dyszącego kraju taka propozycja to niemal gwóźdź do trumny. Jeśli dodać do tego kryzys migracyjny i tysiące uciekinierów z Syrii, którzy po zamknięciu szlaku bałkańskiego utknęli na greckich wyspach i w przygranicznych miejscowościach, mamy problem, który za chwilę może kolejny raz zachwiać Unią.

Potęga zamiejscowych

Brytyjczycy z Hiszpanii zagłosują za pozostaniem w Unii.

W brytyjskiej ambasadzie w Madrycie każdego dnia rejestruje się blisko tysiąc mieszkających w Hiszpanii obywateli Zjednoczonego Królestwa. Chcą oddać głos w referendum na temat członkostwa ich ojczyzny w Unii Europejskiej. Poza granicami kraju mieszka na stałe ponad 5 mln Brytyjczyków, z czego niemal co piąty na nowy dom wybrał właśnie Półwysep Iberyjski. Na andaluzyjskim Costa del Sol są całe nadmorskie osiedla zamieszkałe wyłącznie przez Brytyjczyków, głównie emerytów. Na miejscu wydawane są angielskojęzyczne gazety, a przeznaczone dla brytyjskich ekspatów radiostacje ścigają się o palmę pierwszeństwa.

W przypadku ewentualnego Brexitu mieszkający w Hiszpanii Brytyjczycy straciliby dostęp do miejscowej służby zdrowia i podobnych przywilejów, dlatego wielu z nich nawołuje do głosowania za pozostaniem Królestwa w Unii. Jeśli emigranci zwartym blokiem opowiedzieliby się przeciwko Brexitowi, to ich głos mógłby przeważać na rzecz pozostania w Unii, bo na samych Wyspach sondaże pokazują, że obie strony sporu idą łeb w łeb. Referendum odbędzie się 23 czerwca.

Żydowski Front Narodowy

Francuski Front Narodowy wyciąga dłoń do lokalnych Żydów. Partia utworzyła właśnie specjalną przybudówkę, która w przyszłorocznych wyborach prezydenckich ma pozyskać ich głosy na rzecz **Marine Le Pen**. Jeszcze kilka lat temu taki mariaż byłby nie do pomyślenia, bo nazwisko Le Pen kojarzyło się z agresywnym antysemityzmem: Jean-Marie, założyciel i wieloletni przewodniczący Frontu, wielokrotnie twierdził publicznie, że czołowi francuscy politycy „są na liście płac syjonistów”, a zaledwie w marcu sąd skazał go za szerzenie mowy nienawiści i bagatelizowanie Holocaustu. Już wcześniej został jednak za te słowa wyrzucony z partii przez własną córkę, a Marine gorąco stara się przekonać obrażanych przez ojca, że ma inne poglądy: jednym ze swoich najbliższych doradców mianowała Żyda, w zeszłym roku publicznie sprzeciwiała się bojkotowi Izraela, a na spotkaniu Europejskiego Parlamentu Żydowskiego (pozarządowej organizacji lobbingującej w Brukseli) przekonywała, że



w jej formacji „nie ma miejsca dla antysemityzmu”.

Za zmianą rodzinnej tradycji stoi tematyka: francuscy Żydzi to aż pół miliona potencjalnych wyborców. W poprzednich wyborach prezydenckich

Marine dostała 13,5 proc. ich głosów, dwa razy więcej niż jej ojciec pięć lat wcześniej. Apetyt jest więc duży, ale zapal studzi najważniejsza żydowska organizacja we Francji, której przywódcy już wydali oświadczenie, żeby „jednego ekstremizmu nie zwalczać drugim”.



Znika pięćsetka

Europejski Bank Centralny podjął decyzję o stopniowym wycofywaniu z obiegu swego największego nominału, 500 euro. Decyzję przyspieszyły ostatnie zamachy w Paryżu i Brukseli, bo to najpopularniejszy banknot terrorystów, nazywany nawet pieszczotliwie „bin ladenem”. A także wśród pracy pieniędzy oraz – według kompetentnych źródeł amerykańskich – karteli narkotykowych. Powód jest oczywisty. Milion euro w pięćsetkach waży 2,5 kg i mieści się w małej torbie. No i nie ma konkurencji. Amerykanie swoje wysokie nominały: 500 dol. oraz 1, 5 i 10 tys., wycofali z obiegu w 1969 r. Jest jeszcze szwajcarskie tysiąc franków w jednym kawałku, ale występuje

bardzo rzadko. A w przeciwieństwie do całego społeczeństwa w tamtych kręgach nadal używa się nie kart, przelewów czy nawet anonimowych bitcoinów, lecz żywej gotówki. To będzie dla nich cios.

Przeciwnicy tej operacji z miejsca uznali, że ogranicza wolność osobistą: w końcu nie wszyscy są gangsterami, a też chcieliby czasem skorzystać z dużych nominałów. Podnoszony jest także aspekt finansowo-ekonomiczny. Wycofanie pięćsetek ułatwi EBC utrzymywanie niskich stóp procentowych; od dwóch lat są one ujemne, to znaczy banki detaliczne dopłacają do trzymanych w banku centralnym pieniędzy, co ma je zachęcić do większej aktywności w inwestowaniu. W tej chwili oprocentowanie depozytu wynosi minus 0,4 proc.

Karp morderca

Europejska odmiana karpia stała się zmorem Australii.

Australijski rząd chce do najdłuższej rzeki w kraju wpuścić wirusa opryszczki i wybić w ten sposób 95 proc. żyjących w niej organizmów. Zginą głównie pławające w tej rzece karpie, a dokładniej ich europejska odmiana, którą wprowadzono do miejscowych wód już w połowie XIX w. i zamknięto w ściśle kontrolowanych hodowlach. W latach 60. duża grupa jej przedstawicieli niespodziewanie jednak wyrwała się na wolność.

Od tamtej pory karpie niemal całkowicie zdominowały długą na 2,5 tys. km rzekę Murray, zamulając jej dno i doprowadzając rodzime gatunki na skraj wyginięcia. Minister rolnictwa i zasobów wodnych Barnaby Joyce najwyraźniej jest tym faktem wyjątkowo poruszony, bo podczas przemówienia w miejscowym parlamencie z teatralną odrazą wymawiał słowo „karp”, a samą rybę nazwał „obrzydlivą, ssącą błoto kreaturą”.

Po jego wystąpieniu posłowie zaakceptowali plan wpuszczenia wirusa do Murray w 2018 r., ale wciąż jeszcze nie zdecydowali, co zrobić z zabitymi rybami – według wstępnych szacunków ich łączna masa może wynieść od 500 tys. do 2 mln ton. Na razie dominuje pomysł, żeby przerobić je na kompost.

Kontrrewolucja KOD

Mateusz Kijowski,
przewodniczący Komitetu
Obrony Demokracji,
o politycznych planach
i ewentualnym spotkaniu
z Jarosławem Kaczyńskim
w rozmowie z profesorem
Janem Hartmanem



JAN HARTMAN: – **Czy długo to jeszcze potrwa?**

MATEUSZ KIJOWSKI: – To zależy co. Jeśli pytamy o obecną sytuację, w której władza łamie prawo, ma „w głębokim poważaniu” obywateli i robi swoje, to nie wiadomo. Może jeszcze trzy i pół roku, ale kto wie, jak będzie z wyborami. Trzeba jednak być czujnym i otwartym na pojawiające się możliwości zmiany na lepsze, bo wszystko jest możliwe. Jak długo natomiast potrwa realizacja programu KOD, czyli budowa społeczeństwa obywatelskiego? Ta praca nigdy się nie skończy, bo zawsze jest jeszcze coś do zrobienia.

A co zrobicie, gdy jednak nadejdzie czas wyborów?

Będziemy przede wszystkim zachęcać ludzi do udziału, a polityków do przygotowania programów, na które ludziom będzie się chciało głosować. Nie wskażemy jednak żadnej z partii. Co innego, gdyby powstała szeroka koalicja pro-demokratyczna, obejmująca szerokie spektrum poglądów. Na pewno nie poprzemy, dajmy na to, koalicji Nowoczesnej z PO, bo to za mało. Musieliby się w tym odnaleźć również ludzie o poglądach centrowych i lewicowych. Taką szeroką koalicję być może KOD będzie mógł poprzeć lub wspierać jej tworzenie. To zależy od gotowości polityków do współpracy. Właśnie zaprosiliśmy organizacje społeczne i polityczne do koalicji Wolność, Równość, Demokracja. Być może będzie to początek takiej współpracy, która stanie się podstawą dla koalicji wyborczej.

To znaczy, że zwrot koalicja Wolność, Równość, Demokracja może w przyszłości stać się szyldem wyborczym?

Niewykluczone. Na razie będzie to płaszczyzna rozmowy liderów, aby nie musieli komunikować się za pośrednictwem kamer. Będziemy wspólnie uzgadniać priorytety i koordynować działania, mając na uwadze dobro kraju, a nie sondaże.

Czy działacze KOD będą wchodzić na listy?

Jako członkowie partii politycznych pewnie tak, ale KOD nie będzie delegował ludzi na listy. Potrzebujemy w demokracji wzmocnienia ugrupowań politycznych. Będziemy naciskać na partie, by lepiej przykładały się do tworzenia programów, a obywateli będziemy zachęcać, aby do partii politycznych wstępowali, by je zmieniać od środka i umacniać.

Rozumiem: KOD jednoczy, koordynuje, inspirowa, lecz własnej listy nie wystawia. A jakie są w takim razie pańskie osobiste ambicje? Chciałby pan zostać prezydentem?

Prezydentem nie zostaje się dlatego, że się chce, ale dlatego, że obywatele tego chcą. Nie myślę o tym. Teraz mam bardzo dużo do zrobienia w KOD. Dziś musimy patrzeć władzy na ręce, a w przyszłości powinniśmy pomóc w odbudowie kraju po obecnych rządach. Jednak kolejnej władzy też będzie trzeba patrzeć na ręce... Przecież jest ryzyko, że następcom PiS spodoba się taki model władzy, jaki odziedziczą. Wygodny fotel dla dyktatora...

Wyczuwam w tych słowach pewien sceptycyzm w stosunku do partii parlamentarnych. Nie boi się pan, że zawodowi politycy go „zjedzą”?

Będzie im trudno, bo jestem dość ciężkostrawny. Interesuję się polityką od dawna i wiem, na czym polega ta gra. Dam sobie radę. Na razie współpraca między nami jest poprawna, choć oczywiście każdy walczy o swoją pozycję. Chciałbym, żebyśmy umieli współpracować ze sobą, stojąc z tyłu, zamiast przepychać się łokciami do pierwszego rzędu. Gdy się już lepiej zestroimy, nie będziemy ścigać się do kamer, bo to jest niepoważne. Wtedy ludzie zobaczą, że da się współpracować i z determinacją walczyć wspólnie o najważniejsze dla kraju sprawy, pomimo znacznej rozbieżności poglądów. Zresztą spotykamy się regularnie i mam nadzieję, że nasze grono będzie się poszerzać o środowiska, które nie mają może dużej siły politycznej, ale mogą sporo wniesić w sferze intelektualnej.

Czy ta współpraca zostanie sformalizowana?

Mam nadzieję, że tak się stanie niebawem. Nie czuję się upoważniony do tego, żeby narzucać jakąś określoną formę działania. KOD może patronować rozmowom, ale przede wszystkim to zawodowi politycy muszą się ze sobą dogadać. Muszą lepiej współpracować w parlamencie i poza nim. Gdy chodzi o najważniejsze wartości – rywalizujące ze sobą środowiska parlamentarne i pozaparlamentarne powinny grać do jednej bramki.

KOD nie jest partią, ale każdy jakieś poglądy polityczne ma.

Jakie są pańskie?

Chyba takie jak Leszka Kołakowskiego, który mówił, że jest konserwatywno-liberalnym socjalistą. Cenię sobie tradycję, lecz cenię sobie również nowoczesność, a wolność osobista jest dla mnie jedną z najważniejszych wartości.

Ciekawi mnie ten wątek konserwatywny. Był pan kiedyś związany z organizacjami kościelnymi. Jak ocenia pan dziś zachowanie Kościoła?

Bardzo niedobrze. Kościół robi rzeczy, których robić nie powinien, i zajmuje się nie tym, czym powinien się zajmować. Zamiast na moralności i kulcie skupia się na polityce i biznesie, jednocześnie walcząc o sprawy bez żadnego znaczenia – jak religia na maturze – albo absurdalne – jak koronowanie Chrystusa na króla Polski. Moim zdaniem polski Kościół tak naprawdę odszedł od chrześcijaństwa, a jednocześnie odstaje od Kościoła na świecie. Przypomina swoim konserwyzmem Kościoły afrykańskie i tak jest też postrzegany w międzynarodowym środowisku biskupów. Oczywiście są i u nas wspaniali księża, lecz na co dzień ich nie widać. Ton nadają ludzie, którzy nie realizują w publicznym życiu wartości chrześcijańskich.

Działalność pan już w wielu organizacjach. Ostatnio w stowarzyszeniu Stop Gwałtom. Skąd ta zmienność profilu działalności i dlaczego te gwałty?

Nie tyle zmienność, co poszerzanie. Jeśli chodzi o Stop Gwałtom, to sprawa miała związek z wydarzeniami w Turcji, gdzie w proteście przeciwko zbiorowemu gwałtowi i zamordowaniu studentki oraz obwinianiu jej o prowokowanie strojem mężczyźni zaczęli zakładać spódnice. To mnie jakoś mocno tknęło i zacząłem się zastanawiać, czy i my nie moglibyśmy czegoś zrobić. Zrobiłem sobie zdjęcie w spódnicy i umieściłem je w internecie. Z tego wzięła się akcja, która zatoczyła dość szerokie kręgi. Podobne zdjęcia zrobiło sobie ok. 200 osób, w tym drużyna koszykówki i kilku radnych. Tak narodziła się organizacja, której celem jest walka z czymś, co nazywamy kulturą gwałtu z przyzwalaniem na przemoc. Myślę, że to, co robimy w tej chwili w KOD, jest w pewnym sensie rozwinięciem tej idei. KOD też walczy z gwałtem – gwałtem na konstytucji, na demokracji. Demokracja polega na poszanowaniu reguł. Ale nie ma wśród nich reguły, że zwycięzcy wolno wszystko i do wszystkiego może nas zmuszać.

Skoro walczy pan o prawa kobiet, czy czuje się pan feministą?

To zależy, co się przez to słowo rozumie. Dla mnie równość należy do podstawowych wartości. Gorąco wspieram kobiety w ich dążeniu do równego traktowania, do szacunku. Wciąż jest wiele obszarów, w których kobiety są dyskryminowane i trzeba z tym walczyć. Są też jednak obszary, w których to mężczyźni są dyskryminowani. Niegdyś byłem zaangażowany w ruch obrony praw ojców. Wszystkie moje aktywności łączą jeden wątek – sprzeciw wobec dyskryminacji.

Skoro angażował się pan w ruch na rzecz praw ojców, zapytam o to, co wiele osób uwiera – o dzieci i alimenty. Dzieci ma pan czworo, z tego troje z pierwszego małżeństwa. Ile mają lat?

22 i pół, prawie 21 oraz 17. W 2003 r. rozstałem się z byłą żoną, a niedługo później straciłem dobrze płatną pracę. Ponieważ moje dochody były przez jakiś czas stosunkowo wysokie, sąd wyznaczył mi wysokie alimenty, których nie udało mi się ►